

## Część pierwsza

### 1

Jest środek sierpnia i pada deszcz. Ester ma widok na mały fragment nieba o jednolitej szarej barwie, który kusi, żeby go przekłuć palcem i przebić się aż do ukrytego pod nim błękitu. Ester robi to w myślach. Dziurawi całe niebo i świecącymi niebieskimi kropkami na tle szarej mgły pisze imię. Brzmi ono „Lisa”.

Siedzi przy oknie pokoiku, w którym śpi, na rozłożonym łóżku polowym i jak zwykle nie zajmuje się niczym. Odczuwa przygnębienie, ponieważ wakacje właśnie się skończyły, a jutro zaczyna się szkoła. Poza tym pada deszcz, który zawsze sprawia, że coś głęboko wewnątrz boleśnie ją ściska. Płacz podchodzi do gardła i wraz z kroplami deszczu sypią się na nią wszystkie drobne, smutne wspomnienia. Dręczą ją przy tym odwieczne wyrzuty sumienia. Liczne grzechy strasznie jej ciążyą, co jednak nie powstrzymuje jej przed popełnianiem kolejnych. Nie należy bowiem do aniołków. Podkrađa cukier w spizarni i po kryjomu wtyka palec pod zastygły kożuch świeżo usmażonych konfitur z rabarbaru, odstawionych do schłodzenia na parapet. Kradnie butelki z placu budowy, aby później z niewinną miną

sprzedać je u Żelaznego Madsena z Enghavevej, który za każdym razem mruczy pod nosem, że powinien je przyjąć tylko z kartką od rodziców, lecz nigdy nie posunął się do tego, żeby wprost jej zażądać. Krzyczy także „kocia mamka!” za starą, prawie ślepą panną Hammer z piątego piętra, którą otacza tak straszny odór nieczystości kocich i ludzkich, że na schodach zawisa cuchnąca mgiełka i utrzymuje się długo po tym, kiedy sąsiadka nimi przechodziła. Ciężko jest brnąć przez życie, będąc taką grzesznicą, jednocześnie mając tak wrażliwe i męczące sumienie.

Deszcz spływa po brudnoszarej ścianie frontowej kamienicy, a na wysokości drugiego piętra chlusta wartkim strumieniem z nieszczelnej rynny. Wszystko wydaje się posępne, beznadziejnie szare, niemające końca. W całej kamienicy frontowej okna są zamknięte, a zasłony szczelnie zasunięte. Także na pierwszym piętrze u Lisy, skąd w stronę czwartego piętra w oficynie nadawane są czasami różne tajemnicze znaki i sygnały. Do najśmielszych poczynań doszło tego wieczoru, kiedy Lisa postawiła w oknie dwa zapalone świeczniki, a sama przycupnęła pomiędzy nimi na kolanach, narażając się na wielkie i straszne ryzyko nakrycia. W tej pozycji po kolei unosiła wszystkie swoje skarby ku niemej i nabożnie obserwującej ją Ester, pogrążonej w ciemności i mającej do machania jedynie małą chusteczkę do nosa, którą zaznaczała swoją obecność. Lalka, książka z obrazkami, zielone, przycięte na okrągło szkiełko do gry w klasy – Ester siedziała w milczeniu i ze wstrzymanym oddechem wpatrywała się w tę niewielką postać w koszuli nocnej, tak wdzięcznie manewrującą między chwiejnymi płomieniami świec. W ciemności nadawano pewną wia-

domość. Dzieci bawiły się ze sobą w ciszy. W ukryciu, mimo zakazów, kiedy już dawno powinny leżeć w łóżkach. Przedziwne serce Ester przepełniały szczęście i błogość. „Lisa”, szeptała, „mała Lisa” i ogarniała ją żalność podobna do tej, która nachodzi ją zawsze podczas deszczu i wyciska łzy. Żalność ta była jednak słodka i pocieszająca, coś miękkiego i nagiego, czego nie da się dotknąć czy schwytać. Ukryła to uczucie w miejscu, gdzie zazdrośnie i starannie składała wszystkie drobne, miłe chwile, niczym stara panna zbierająca jedwabne wstążki. Leżało tam schowane wszystko, co dobre, jasne i ciepłe, czekając na chwilę, gdy będzie ich potrzebowała.

Właśnie w takim dniu jak dzisiaj okazywało się to potrzebne. Ester przenika zimno, lecz okno w mieszkaniu Lisy jest zakryte. Poszarzałe i wytarte story szczelnie zasunięto, widać jedynie niewyraźny zarys białej toaletki i wysokiego podwójnego łóżka. Zasmucona deszczową pogodą Ester na próżno czeka na jakiś znak.

Raz na jakiś czas podwórko przemierzają ludzie. Zna ich wszystkich. Kobiety z kamienicy wracające z zakupów do domu, spieszące się, żeby coś ugotować przed powrotem z pracy ich mężów. Niekiedy przechodzi jakiś mężczyzna, jeden z tych, którzy nie mają czym się zająć i nie boją się deszczu. Włóczy się z rękami w kieszeniach, jakby nie wiedział, co innego mógłby z nimi począć. Tacy jak on stracili dach nad głową i w upokarzający sposób nie mają nic do roboty. Z każdym kolejnym dniem chodzi coraz bardziej przygarbiony i nie spogląda już zuchwale w stronę okien, jak kiedyś, gdy codziennie wracał z pracy. Na schodach na jego widok trwa ożywiona gadanina. Przenika przez nieszczelne drewniane drzwi niczym mały, rączy stru-

myczek, beztrosko płynący przed siebie i zapomniany przez swe docelowe ujście: „Czyż sam nie jest sobie winien? Mąż mówił poza tym, że...”.

Nagle dzieje się coś dziwnego. Źrenice Ester rozszerzają się, a ręce kurczowo chwytają ramy okiennej. Na pustym podwórku rozlega się krzyk – długi i dziwnie nagi. Słysząc go jedynie raz, po czym następuje przeciągłe, skomlące zawodzenie, które równie dobrze mogłoby wydać zwierzę, co człowiek. W pierwszej chwili Ester nic nie dostrzega, jedynie przerażająco wyraźnie uświadamia sobie, że jest sama w domu. Mimo że krzyk dobiegał z zewnątrz, nie ma odwagi odwrócić się w ciemnej izbie. „Cóż to może być?”, pytają bezszelestnie jej wargi, „Cóż to, u licha, może być?”. Krzyczała kobieta, a może dziecko. „LISA”, myśli Ester ze zgrozą i wpatruje się jak skamieniała w okna na pierwszym piętrze, gdzie zasłona wisi, jak wisiała, szara i zaciągnięta. Ten krzyk, wciąż żywy, wpełza w nią, rośnie, aż nie jest w stanie go w sobie pomieścić. Wtedy powoli wstaje i wycofuje się z pokoju ze wzrokiem utkwionym we frontową kamienicę. Wyciąga rękę za plecy, otwiera drzwi na korytarz i błyskawicznie odwraca się, wybiega z mieszkania i naciska palcem dzwonek do drzwi sąsiadów. Trzyma go aż do chwili, gdy staje przed nią panna Thomsen okryta zielonym jedwabnym kimono, z drożdżówką w jednej ręce i wielkim, niebieskim dzbankiem do kawy w drugiej.

– Ktoś krzyczał – szepcze Ester. Zielony jedwab pachnie słodko i odświeżenie.

– Ach, to – śmieje się panna Thomsen – w ogóle się tym nie przejmuj. Proszę, wejdź do środka. – Wciąga ją do salonu, który nie przypomina niczego, co Ester kiedykolwiek widziała. Wszystko jest tam czerwone:

zasłony, dywan, żyrandol i obicia krzeseł, złożonych i z wiszącymi w różnych miejscach fantastycznymi pomponikami. Na stole stoją eleganckie, dekorowane filiżanki oraz patera z ciastkami i drożdżówkami, którymi Ester może częstować się do woli. Prawie zdążyła zapomnieć, po co właściwie przyszła i przygląda się z zachwytem panie Thomsen nalewającej kawę. Jej twarz jest blada i pąsowa, zupełnie jak na pocztówce, a w pasie sąsiadka jest tak cienka, jakby w każdej chwili mogła się złamać wpół. Ma paznokcie pomalowane na różowo, a na nogach delikatne zielone pantofle obszyte puszkami, mimo że jest już późne popołudnie. Wydaje się wprost nieopisanie piękna. Ester ogarnia uczucie błogostanu. Z ramion spada jej ciężar – nieodłączny towarzysz o mrocznym, niepojętym pochodzeniu. To, co się właśnie dzieje, jest przecudne, nadzwyczajne i niepowtarzalne. Zawiązuje się między nimi rozmowa. Panna Thomsen ma szorstki, głęboki głos, który dotyka myśli Ester niczym miękka dłoń gładząca ją po policzku.

– Gdzie jest twoja mama? – pyta.

Ester odpowiada, że wyszła do miasta i wkrótce wróci.

– Zapytaj ją, czy by do mnie nie zajrzała jutro przed południem.

Mama zaczęła odwiedzać pannę Thomsen, która jest ich sąsiadką od niedawna. Ester rozpiera dumą z tego powodu i wręcz uważa, że przynosi mamie trochę chwały, iż taka elegancka dama pragnie przebywać w jej towarzystwie. Dziewczynka wpatruje się z bezgranicznym uwielbieniem w tę uroczo uszmkowaną twarz, a panna Thomsen nie zna innego sposobu na odwzajemnienie niż nalewanie nieskończonych ilości kawy do

wyrafinowanej, kwiecistej filiżanki, na której pojawiły się ślady brudnych rąk Ester. Gdy jednak dziewczynka milknie, z czystego podziwu i przyjemności, w żaden sposób nie wyglądając, jakby miała zamiar sobie pójść, panna Thomsen niecierpliwi się trochę i zaczyna ukradkiem zerkać na zegar. Na samym końcu mówi:

– Posłuchaj, kochanie, czekam właśnie na kogoś, nie wydaje ci się, że mama już wróciła? – A kiedy dostrzega zawód na twarzy Ester, pospiesznie dodaje: – Możesz tu przyjść kiedy indziej.

Myśl o groźnym, pustym mieszkaniu za ścianą powoduje, że w głowie Ester ponownie pojawia się wspomnienie strasznego krzyku. Patrzy ze skrępowaniem na pannę Thomsen i szepcze:

– Ale przecież ktoś krzyczał?

– Och, to! – Panna Thomsen odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem. – Nie myśl o tym więcej, to pani Nielsen z trzeciego piętra, która cierpi na kamienie żółciowe. Ta przypadłość zawsze okropnie boli, ale ból szybko mija.

– Aha, kamienie żółciowe! – Ester wzdycha z ulgą na to wyjaśnienie i pozwala, aby łagodnie wyprowadzono ją za drzwi z drożdżówką w ręce i wąsami od kawy nad górną wargą...

Od tej pory pani Nielsen często przydarzają się ataki, a kiedy jakiś czas później Ester spotyka ją na ulicy, kobieta popycha przed sobą wózek z nowym maluchem o białych włosach, identycznym jak reszta pokaźnej gromadki, której zdążyła się dochować.